

# Józef Bachórz

---

## Edwardowi Brezie (1932-2017) po sąsiedzku

---

Acta Cassubiana 19, 604-609

---

2017

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Józef Bachórz

## EDWARDOWI BREZIE (1932–2017) po sąsiedzku

Moje obecne pożegnanie Profesora Edwarda Brezy nieznacznie odbiegnie od należnych mu słów zadumy i od powinnych wyrazów podziękii od żalobnika, które w dniu jego cmentarnego pochówku w Sopocie wypowiadałem z nieuchronnym rozedrganiem emocjonalnym jako jeden z uczestników smutnego obrzędu we czwartek 17 października 2017 roku. Odbiegnie zaś, bo już i w tym dniu wspomnianie kontaktów z Edwardem Brezą przybarwiało się i spletało ze wspomnieniami wieloletniego sąsiedztwa.

Sąsiedztwo zazwyczaj wiąże się z doznawaniem nieodległego pobliza z osobą żegnaną, ale zarazem „rozmundurowuje” to poblize, „ucywilnia” je, sprzyja sytuacjom „na piechotę”, zagraża banałem i chwilami naraża na rodzaj niekoniecznie pożądanej poufałości. Z porzekadła *wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi* – może wynikać szansa pożytecznego przypatrywania się barwom codzienności, ale i wścibstwo ciekawskich. Czyż jednak istnieje sposób ubezpieczenia się od kontaktu z szarzyzną życia? Chciałbym tu jej uniknąć, bo sąsiedztwo z Edwardem Brezą i jego rodziną zdecydowanie wspomagało najlepsze standardy współżycia sąsiedzkiego. Sąsiedztwo to nie było więc tylko okolicznościową metaforą. W roku 1970 fortunny los zdarzył, że rodzina Brezów i moja rodzina zamieszkaliśmy w Sopocie na osiedlu spółdzielczym przy ul. Mickiewicza na skraju malowniczego wzgórza w sąsiedztwie lasu. „Zasiedliliśmy się” w pierwszym wtedy budowanym na tym osiedlu i w tym samym standardowym 10-kondygnacyjnym bloku, a nawet w tym samym „pionie” bloku. Państwo Brezowie kupili mieszkanie na parterze, moja rodzina na pierwszym piętrze. I tak już zostało – a to sąsiedowanie trwa do dziś. Normalną rzeczą kolejną spotykaliśmy się niemal codziennie. Nasza córka i dzieci państwa Brezów chodziły do tej samej pobliskiej „szóstki” (Szkoła Podstawowa nr 6). Lat tego sąsiedowania zbierało się kilkadziesiąt, co najmniej 46! – bo ich początek wyznaczył rok 1970. Wystarczający to argument, by wiedzieć i wiele razy upewniać się, że

mieliśmy za sąsiadów roztropną, stateczną, życzliwą i w potrzebie pomocną nam rodzinę, której duetem kierowniczym byli nasi rówieśnicy: Edward Breza i jego przeznacna małżonka Zofia, też z kaszubskiego domu wiejskiego pochodząca, rzetelna i serdecznie przez sopocką młodzież szkolną lubiana nauczycielka języka polskiego. A w ciągu tych lat 46 nie zdarzył się ani jeden incydent – dosłownie: ani jeden! – który by korygował naszą opinię o arcyzrzetelnym sąsiedztwie nie tylko duetu rodzicielskiego, ale także i całej czwórki młodzieży, wypiastrwanej i wyrosłej w tym mieszkaniu. To prawda, że nasze osiedle spółdzielcze miało charakter własnościowy, więc mieszkania były tu znacznie droższe niż w „zwykłych” spółdzielniach lokatorskich, co sprzyjało dbałości mieszkańców o ład nie tylko w budynkach, ale i o otoczenie, także o przestrzeganie reguł współżycia (hałaśliwe incydenty korytarzowe „na osiedlu” zdarzały się doprawdy rzadko). Z tym wszystkim i przy pewnej snobistycznej dbałości mieszkańców, także i zarządu, o „własnościowy fason” spółdzielczy, nasze sąsiedowanie z sekstetem Brezów ułożyło się zgoła wzorowo. Pamiętam, że niedługo po naszym wprowadzeniu się na osiedle Edward Breza ze szpadlem w ręku zainicjował sadzenie żywopłotu otaczającego i odgradzającego nasz blok mieszkalny od jezdni (zarząd osiedla dostarczył sadzonek tawuli) – jako człowiek wychowany we wsi i przy pracach fizycznych wiedział, jak się to robi – i ten żywopłot trwa do dziś, a ja (też „wieśniak” z rodowodu) rad byłem, że dałem się zmobilizować do udziału w tej pracy.

Dla mnie takie sąsiedzkie pobliże stanowiło nie lada okazję do przypatrywania się codzienności kaszubskiej, bo wiedziałem, że Brezowie rodowodowo wywodzą się z jednego z najważniejszych i najpewniejszych mateczników tradycyjnej kaszubszczyzny: ze wsi w powiecie kościerskim. Pochodzę z regionu Polski odległego od województwa gdańskiego – z Podkarpacia – ale po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Łódzkim ucieszyłem się w 1955 roku nakazem pracy na nieco dla mnie egzotycznych i dość tajemniczych krańcach północnych Polski. Najpierw było to Liceum Pedagogiczne (= LP) w Starym Targu w pow. sztumskim. Po likwidacji tej placówki gdańskie Kuratorium Oświatowe przeniósł mnie do LP w Kwidzynie, a podczas kasowania wszelkich LP zaproponowało mi w roku 1966 pracę w Studium Nauczycielskim w Gdańsku. Kilkanaście lat przed „przeprowadzką” do Gdańska spotykałem się „z tamtej strony Wisły” z pojedynczymi Kaszubami, co więcej – zorientowałem się, że istnieje w woj. gdańskim kilka powiatów kaszubskich (po likwidacji LP w Starym Targu „moja” klasa – ta, której byłem opiekunem – została przeniesiona do kaszubskiego Żukowa!), ale dopiero w Gdańsku zyskałem sposobność bliższego się zapoznania się z geografią, etnografią i mentalnością kaszubską. O tej mentalności od czasu do czasu słyszałem opinie *takie sobie* – zwłaszcza od kilku przesiedleńców z Wileńszczyzny i Białorusi – że to mentalność mało-

mówna, mrukliwa, nieufna i trochę nietowarzyska... Poniektórzy kresowiaci tłumaczyli ją sobie jako skutek wpływów niesłowiańskich, może germańskich. I właśnie przeniesienie się do Gdańska, a niebawem i do Uniwersytetu Gdańskiego sprawiło, że oprócz liczniejszej „reprezentacji” mieszkańców Kaszub zyskałem szczególną szansę: oto dane mi było spotykać się z niemałym dla siebie pożytkiem intelektualnym aż z trzema niepospolitymi humanistami kaszubskimi.

Chronologicznie najwcześniejszym moim *bliźnim* w tym *trio* z fazy mojego uczenia się od postaw wiedzy o Kaszubach i o komplikacjach polskości na naszej Północy, okazał się Jan Drzeżdżon. W „okolicach” roku 1970, gdy „finiszowałem” z doktoratem w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej (WSP), a w przerwach od zapracowania przy tym doktoracie (przygotowywał dysertację o twórczości pisarzy kaszubskich), dojeżdżał do pracy w WSP w Słupsku. Wśród tego dojeżdżania był spokojnie, ale mocno i owocnie zaaferowany własną twórczością literacką.

W nieodległym pobliżu czasowym od zażyłości z Janem Drzeżdżonem, co okazało się „przygodą” trwała, zawiązywała się moja paroletnia koneksja z Hubertem Górnowiczem, niemal patriarchą językoznawstwa kaszubskiego. Dyrekcja Instytutu Filologii Polskiej włączyła wygasające Studium Nauczycielskie do WSP i niebawem do Uniwersytetu Gdańskiego i pomieściła mnie na współlokatorskie „urzędowanie” w pokoju, w którym „urzędował” w roli wicedyrektora Instytutu właśnie Górnowicz. Miał za sobą gorycz więzienną okupacji niemieckiej, pod koniec wojny w 1944 roku udało mu się zbiec z rąk niemieckich do wojska polskiego we Francji, był ranny w bitwie pod Falaise, potem ukończył kurs podoficerski, a za super dowódcę wszystkich czasów uznawał generała Maczka. Ale po kilku emigranckich latach wrócił do pobliża ojczystrych Borów Tucholskich, zdał w Chojnicach maturę, studiował w Toruniu i pamiętam, jak ze specyficznym poczuciem humoru wspominał (lubiłem te jego wspomnienia) o niebanalnych przygodach żołnierskich, które kontrastowały z jego wyglądem, bo postury był nieosobliwej. W Gdańsku stworzył szkołę badań językoznawczych (w tym i toponomastycznych), z której wyszło cenione w Polsce i nie tylko w Polsce grono uczonych. Wśród nich znalazł się Edward Breza.

Jest on w chronologicznej kolejności trzecim ważnym Kaszubą, który – gdy znalazłem się w Studium Nauczycielskim w gdańskiej WSP i niebawem w UG – już od kilku realizował w środowisku akademickim pod okiem Górnowicza, ale przede wszystkim pod własną kontrolą zamiar kształtowania tu ośrodka naukowego i dydaktycznego z myślą podobną jak Górnowicz. Z myślą więc o swoim „kraju lat dziecińczych”, co nie tak patetycznie zostanie nazwany mianem „świętego i czystego jak pierwsze kochanie” Mickiewiczowej Litwy w *Epi-*

logu do *Pana Tadeusza*, będzie wszakże ziemią prawdziwie godną synowskiego uczucia i powściągliwej... serdeczności.

Bo wiedza, jaką wyniosłem obserwowania postaw i postępowania tego niepospolitego *trio* kaszubskiego, upewniała mnie, że są to ludzie, którzy mieli świadomość przeróżnych dramatów i bied – wielkich i małych – jakich doświadczali ich przodkowie, a także im samym nie były oszczędzone rozmaite gorycze w Polsce powojennej. Kaszubszczyzna w polskich dziejach nowożytnych bywała podejrzewana o cały mieszek różnych grzechów, w tym i o konformizm, a Kaszubi – nawykli do nieufności i do mitygowania własnych emocji – nie należeli do awangard poruszeń społecznych, choć z całą pewnością zdawali sobie sprawę z potrzeby zmian ustrojowych w powojennej Polsce i bardzo je wspomagali. Ale też wspomagali je – zwykle bez przepychania się na czoło pochodów lub do pierwszego szeregu wiecujących.

Przy tym – wszyscy „moi” akademicy gdańscy nauczyciele kaszubszczyzny – zawsze uważni i gotowi do aktywności, wśród nich Edward Breza – w retoryce okolicznościowej konsekwentnie stronili od patetycznego wielośłowia i wielkośłowia akademijnego. Także i w stylistyce mówienia i pisania o jego własnych pracach i zamiarach ewidentnie jest słyszalny nawyk skromności i ostrożności – nawyk chyba charakterystyczny nie tylko dla mentalności kaszubskiej. Można w nim posłyszeć echo dawnej przeczności o rodowodzie plebejskich – bo tu się przemawia bez nadmiaru wiecowej gestykulacji, a także bez hałasu namiętności politycznych. I za niestosowny uchodziłby retoryczny krzyk. Tu ceni się panowanie nad sobą i praktykuje się emocjonalną powściągliwość w eksponowaniu własnej osoby i jej emocji. Jeśli ból – to nie gwałtowny i nie szalony. Jeśli powaga – to nienatarczywa. Jeśli chwila pogody – to bez rechetliwego śmiechu sarmackiego. I jest spokojna radość.

Znane mi są opinie co bardziej wojowniczych działaczy politycznych, którzy w czasach napięć społecznych mieli za złe działaczom kaszubskim niedostatek żarliwości i angażowania się w nasze spory i walki polityczne. Uważam jednak, że przez swoją ostrożność, irytującą nieraz nawet ich samych, działacze ci i intelektualiści kaszubszy wykonali wielką pracę w dziedzinie oświaty i kultury. Istotny udział w tej pracy ma Kaszuba Edward Breza i mają dwaj pozostali „moi” nauczyciele kaszubszczyzny. Edward Breza ma ogromny dorobek publikacji, zwłaszcza przeogromną liczbę prac o nazewnictwie ludzi i miejscowości, ale niebagatelny zakątek tego dorobku stanowią *Zasady pisowni kaszubskiej* (1976) i fundamentalna *Gramatyka kaszubska* (1981), opracowane wspólnie z Jerzym Trederem. Bez tego rodzaju prac nie można sobie wyobrazić sensownego szkolnictwa kaszubskiego, które po raz pierwszy w naszych dziejach przy aktywnym udziale uniwersyteckiej kadry stało się rzeczywistością.

Ale szkolni nauczyciele kaszubscy – przez całe życie zawodowe pilni badacze języka polskiego i autorzy wielu prac o języku polskim – są zarazem nauczycielami języka polskiego i wychowawcami setek studentów – tych, którzy pod batutą Brezy i jego kolegów praktykowali nauczanie polszczyzny. I byli lojalnymi uczestnikami polskiego życia. Pomnę, że przed półwieczem któryś z krakowskich polonistów uniwersyteckich (chyba Zenon Klemensiewicz), w czasach wczesnego PRL-u „rugany” przez któregoś pryncypialistę antyreżimowego, że nie takiej Polsce powinien służyć, bo PRL to nie jest Polska należyta, podobno odpowiedział: „Jaka ta Polska jest, taka jest – ale jest!” To niebanalna konstatacja.

Ważnym przesłaniem prac i postawy Edwarda Brezy i grona współpracujących z nim Kaszubów jest traktowanie języka jako dobra bezspornego i bezcennego. Wszyscy trzej „moi” Kaszubi znali ten język z domów rodzinnych i dobrze wiedzieli, że istnieją jego odmiany terytorialne i że można w nim „wyśpiewać” przeróżne tony. Ale i Edward Breza, i obaj pozostali „moi” Kaszubi w rozmowach codziennych z nie-kaszubskimi interlokutorami posługiwali się solidną polszczyzną. Także i w ich rozmowach na forum uniwersyteckim „ze swoimi” chyba nie słyszałem ich uciekania się do językowej kaszubszczyzny. Ani razu nie świadkowałem rozmowie w języku „domowym”. Miałem pewność, że każdy z nich to wytrawny znawca żywej kaszubszczyzny językowej, ocalałej wśród przeciwności losu dziejowego, ale mówienie po kaszubsku rezerwowali sobie na kontakt ze swoimi. Nie na pokaz czy popis przed amatorami egzotyki. Pamiętam, że Edward Breza, znakomity znawca języka kaszubskiego wysanego z mlekiem macierzyńskim, nie ryzykował narzucania się komukolwiek z gadaniem „po kaszubsku” dla popisu. Byłem wzruszonym świadkiem w jego domu rodzinnym rozmowy z matką, która nie znała innej mowy jak kaszubska – i na moich oczach odbył się niemal koncert mówienia kaszubskiego.

Później z zaciekawieniem konstatowałem, jak Edward Breza – znakomity znawca różnych odmian kaszubszczyzny literackiej, krytycznie opiniuje jeden z motywów w przekładzie na kaszubski czterech *Ewangeli* dokonany przez księdza Franciszka Gruczę, zasłużonego autora publikacji kaszubskich, bo w tym przekładzie zawieruszyły się mu w roli tłumacza neologizmy w rodzaju *morzyce* jako nazwa jeziora, a powinno być *jezoro*... Tu, w bratniej debacie z ks. Gruczą, wystąpił Edward Breza jako Kaszuba nieustępliwy, ale i językoznawca profesjonalny, zapewne więc to on miał rację, tylko nie mnie o tym definitywnie rozstrzygać. Symboliczne sąsiedztwo na sopockim cmentarzu sprawia, że dialog o przekładach przenosi się w sferę wieczności, jako że na tym samym sopockim cmentarzu Edward Breza spoczął zaledwie kilkadziesiąt metrów od miejsca pochówku Franciszka Gruczy.

Na zakończenie tego wspominkowego rozmyślenia pragnę natomiast zaakcentować, że Edward Breza całym życiem i całą pracą naukową pokazał, jak bycie Kaszubą i zarazem bycie Polakiem to szansa duchowego bogactwa, nie zaś przypadłość, której co prędzej trzeba się pozbywać. To ważna dla mnie sprawa i... przygoda intelektualna. Dwoistość narodowa od dawna bywała cechą ludzi pograniczy, a w naszych czasach gwałtownie wzrasta jej znaczenie. Przywiązanie do mowy ojczystej i spokojne jej dawkowanie to oczywisty atut, ale ograniczenie się do jednego języka niekoniecznie musi oznaczać warunek *sine qua non* narodowości.

Kaszuba posługujący się językiem kaszubskim nie powinien mieć zmarszczonej zgrzyoty na wiadomość, że jakiś inny Kaszuba nie pisze, a tym bardziej nie gada po kaszubsku. Język jest ważny, nawet bardzo ważny, ale on nie wystarcza do narodowego samookreślenia. Kaszubi mają prawo do satysfakcji z posiadania własnego języka, ale przecież wiedzą, że są narody, które nie mają swojego języka – jak np. Austriacy czy jak Szwajcarzy niemiecko- lub francuskojęzyczni. Edward Breza zaś, który wykonał tak rozległą i tak kompetentną pracę badawczą i przysłużył się zarówno pisanej, jak i nauczanej w szkołach kaszubszczyźnie, zasłużył na trwałe miejsce w pisanych i niepisanych księgach dziejów kaszubskich i polskich. Bo był i Polakiem, i Kaszubą. Wedle pamiętnej nauki Hieronima Derdowskiego, że „nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polsczi”.

*Postscriptum:* Profesor Edward Breza – jak przystało na językoznawcę znakomitego – miał skłonności poliglotyczne. Z dobrym skutkiem zaglądał do skarbnicy różnych języków słowiańskich, sprawnie posługiwał się też niemieckim, ale szczególnymi względami darzył klasyczną grekę i łacinę. Sądzę, że tam, gdzie zatrzymał się po trudach życia, miał możliwość rozmówić się prośalnymi słowami Dawidowego psalmu 51 w łacińskiej wersji Wulgaty: *Asperges me, Domine, hyssopo, et mundabor, lavabis me, a super nivem de-albabor. Miserere mei Deus secundum magnam misericordiam Tuam – in nomine Patris et Filii et Spiritui Sancto*. Dzisiejszym czytelnikom zapewne przydałoby się spolszczenie tych słów frazami: *Pokrop mnie, Panie, hizopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję. Zmiłuj się nade mną, Boże, według wielkiego miłosierdzia Twego – w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego*.

Ale taki erudyta jak Profesor Edward Breza władał dostojną łaciną modlitewną bez pomocy przekładu.